

**Borowice w Kudowie,
czyli Kudowa w Bukowie,
czyli Bukowo w Niepołomicach,
czyli BOROWICE GDZIEKOLWIEK
a w nich
eksperymentalna, bo Pierwsza Ogólnopolska Letnia Szkoła EAAEeeee tam!**

Pod koniec maja jeszcze nie było pewne, czy zamiary Ludwika z Głogowa i Grzegorza z Niepołomic (nota bene ogłoszone jesienią ubiegłego roku w Borowicach) przybiorą kształt realny, niemniej zamęt przez pewną kobietę uczyniony okazał się być katalizatorem rzeczy samej. I dobrze, bo zebrała się całkiem przyzwoita gromadka chętnych do wzięcia udziału. Termin podano konkretnie, program z grubsza – i hajda trojka, śnieg puszysty! Niektórzy nadgorliwi, co to zjawili się w niedzielę, za karę musieli produkować się na imprezie w terenie, tzn. festynie w Szczytnikach, a wieść gminna niesie, że towarzyszyły owemu wydarzeniu przeżycia ekstremalne. Ja natomiast w poniedziałek zadawszy sobie niezmiennie pytanie, czy świat musi mnie oglądać o tak wczesnej porze, ruszyłam do Libiąża po Lucynę i z uwzględnieniem efektów relatywistycznych pomknęłyśmy do pobliskich Niepołomic.

W MOA poinformowano nas, że wszyscy są Planetarium, zatem i my tam się udałyśmy. Ale miałyśmy wejście – dla tych oklasków warto było spóźnić się te dziesięć minut! A potem już poszło jak burza.

Po prelekcji wstępnej wzięli nas na warsztat Witek z Grzegorzem. Ależ ten Witek z nami wyczyniał! Mapka, landszaft, linijka i wyznacz mu promień Ziemi. Mierz zamiar podług sił, bo to wakacje, w każdym razie teoretycznie! Na szczęście Grzegorz miał dla nas więcej miłosierdzia: Meniscas 180/1800, kamera Meade III Pro – i zdjęcia same się robią. Słońce zaś zorientowawszy się, iż jest przedmiotem powszechnego podziwu, raczyło tu i ówdzie protuberancją wystrzelić.

Ponieważ nawet najwięksi zapaleńcy też mają potrzeby służące podtrzymaniu istotnych funkcji życiowych, przewidziano obiad. Uroczy rynek niepołomicki, kilka uczciwych restauracyjek, i po zasileniu prozaicznego ciała można pozwolić sobie na kolejne etapy rozwoju intelektualnego.

Zamiast drzemki poobiedniej – opowieści uczniów Ludwika o nocnych szychtach w głogowskim obserwatorium szkolnym, czyli jak naszemu koledze udało się sprowadzić młodych ludzi na cudne manowce. I Registaxem składanie do kupy seryjki fotek „Oka Czarnego”, tj. M64, uprzednio wykonanych przez Slooha. I wędrówka – za głosem Grzegorza – po Wszechświecie (w Planetarium, ma się rozumieć). I Dom Wschodzącego Słońca, pardon!, Sunrise Project w wydaniu Gosi.

W ramach rekreacji pospieszyliśmy Autostradą Słońca aż na Kopiec Grunwaldzki, a to dla naukowej obserwacji zachodu tegoż (Słońca, nie Kopca).

W drodze powrotnej poczyniliśmy zakupy niezbędne do uroczystej sesji wieczornej, uświęcone tradycje należy bowiem kontynuować. Oważ sesja miała miejsce przy grillu, a przebiegała pracowicie, jako że trzeba było wykazać się znajomością utworów zapodawanych przez duet „Ludwik & Witek”, błyskotliwie dyskutować, a nawet spierać się, do późnych godzin nocnych lub bladego świtu, jak kto woli.

Rano resztki snu z powiek spędził nam Witek swoim sekstansem. Kto chciał, mógł przejść przyspieszony kurs sprowadzania latarni do horyzontu (okazuje się, że nie trzeba jej tłuc w tym celu). Zadowoleni z nabycia sprawności przydatnej np. podczas żeglowania, poszliśmy zobaczyć, co słychać w eterze, ponieważ pan Marian złapał audycję nadawaną przez Drogę Mleczną. A na koniec i ja miałam swe „piętnaście minut nad Tokio” – krótką prezentację nocnych wypadów z Księżycem w roli głównej oraz aparatami fotograficznymi.

I nadeszła nieuchronnie średnio radosna chwila, kiedy to Grzegorz usiadł za biurkiem, wyjął kalendarz, okulary na nos, długopis w rękę – i stentorowym głosem zapowiedział ciąg dalszy za rok w tym samym entourage'u i najlepiej o tej samej porze.

Zatem Ludwikowi nie wypadło nic innego, jak oficjalnie zakończyć obrady.

I jeszcze wspólny obiad, ale już w znacznie przerzedzonym gronie – ot, taka próba przedłużenia miłego pobytu...

Zamiast ewaluacji:

Jasne, że Letnia (czytaj: gorąca, cokolwiek rozumiemy pod tym pojęciem) Szkoła EAAE nie odbyłaby się, gdyby stosowne instytucje nie udostępniły swych pomieszczeń i oprzyrządowania – podziękowania poszły już w lud, nie będę więc wznosić dodatkowych peanów na cześć.

Najistotniejszym jest, chociaż mało widocznym, wysiłek i poświęcenie ze strony dwóch fajnych facetów: Grzegorza i Ludwika. Jasne, że można z nimi zawzięcie polemizować, ba, wręcz się nie zgadzać, lecz trzeba przyznać, że są to osobowości nietuzinkowe i mają dar skupiania wokół siebie najwytrawniejszych belfrów, jakich cierpliwie Matka Ziemia nosi. A atmosfera jako żywo przypominała „Borowice”, czy to w Borowicach Właściwych, czy w Kudowie.

Czar i urok osobisty miejsca akcji też nie jest bez znaczenia. Parę razy do roku bywam służbowo w MOA, a ilekroć stamtąd wyjeżdżam, ukradkiem usuwam żal z kącików oczu... Ale o tym sza!